GAZETA KOŚCIELNA

Przedpłata:
W Galicyi: roczna . 5 zł. 50 ct.
półroczna 3 „ — „
kwartalna 1 „ 60 „
za granicą: do Niemiec 11 mar.
do Francyi, Włoch, Turcyi 14 fran.
do Ameryki . . . . . . 3 dolr.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM
ORGAN DUCHOWIEŃSTWA.
Wychodzi co czwartku.

Redakcya, Administracya i Expedycya plac Kapitulny l. 7 II. piętro.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 10 ct. od wiersza petitu.
Rękopisów przyjętych do druku Redakcja nie zwraca.

Rok II. We Lwowie dnia 30. sierpnia 1894. Nr. 35.

PRASA.

(Podług ś. p. br. Vogelsanga.)

Nad rozwiązaniem kwestyi socyalnej pracować muszą wszystkie stany; żadnego nie wolno wykluczać ani usuwać, tem mniej zaś odmawiać mu prawa, by dbał o swój własny, uzasadniony interes. Prasa chrześciańska jednak, która nie jest w stanie w dzielny sposób brać udziału w przygotowaniach do tego wielkiego dzieła, która z zapałem się nie stara wszystkich chrześcian zbierać, łączyć i prowadzić do owej wielkiej walki, jaka niebawem się rozegra między Chrystusem Panem a cielcem złotym, prasa, która jedynie i wyłącznie służy drobnym interesom partyjnym, nie warta papieru i czernidła, które kosztuje i wprędce musi pójść w pogardę u ludu katolickiego.

Biskup Ketteler rzekł ongi: gdyby św. Paweł, apostoł narodów, teraz żył na świecie, posługiwałby się z pewnością dziennikami. Ale wtedy występowałby gorąco a wymownie, z ogniem boskiego zapału a nie ze służalczością najemnego pisarza, który służy kapitalizmowi lub innym tendencyom samolubnym. Codziennie wobec tysięcy głos zabierać to święte powołanie, nadużywać go bezczelne pohańbienie godności ludzkiej.

Z nastaniem t. zw. odrodzenia i towarzyszących mu wypadków historycznych owe nowe idee, których całość określa się zazwyczaj nazwą liberalizmu, wdarły się powoli do wszystkich zakątków życia publicznego i prywatnego, opanowały je i wyrugowały z nich zasady naturalne i chrześciańskie. Dziś zjawisko to doszło do punktu kulminacyjnego: do wyłącznego i bezwzględnego panowania liberalizmu. W takiejto atmosferze duchowej wzrosła, wychowała się i wykształciła dzisiejsza generacya. Wszystko, co czytamy, widzimy, słyszymy, wszystko, co nami rządzi i co nas bawi, wszystko to tchnie duchem liberalizmu i nim nas napawa. Jeżeli pragnęliśmy chwilowo się uchylić od tego wpływu, który nas niepokoi, choć tak bardzo do niego przywykliśmy, pozostawała nam tylko jedna ucieczka: musieliśmy pójść do kościoła. Tam znajdywaliśmy Tego, którego wypędzono z państwa i społeczeństwa: Boga, jego obecność, jego prawo, jego słowo.

W tento sposób stało się, że w życiu codziennem, które człowieka pochłania, myślano, mówiono i działano liberalnie, w kościele tylko modlono się po katolicku. Sytuacya taka nie mogła się ostać, bo człowiek dąży z mocy natchnienia Bożego do wewnętrznej jedności, którą zowiemy charakterem a mając cokolwiek więcej siły moralnej nie może wytrzymać owego rozstrojenia, które wywołuje jednoczesna służba Bogu i szatanowi. Tak też było: bardzo wielu z naszych współczesnych wyrzeka się kościoła, aby całkowicie i bez zastrzeżeń oddać się życiu liberalnemu. Cóż jednak ci uczynić mają, którym siła sumienia i łaska Boża nie daje wstąpić na tę drogę? Czyż mają pójść do Kościoła a wyrzec się życia?

Ojciec św. Pius IX. wskazał swym dzieciom drogę. Gdy panowanie liberalizmu doszło do szczytu na wszystkich polach życia — odrzucił go i potępił na wszystkich polach; rozpoczął jednać świat znowu dla Boga. Takie zadanie ma też każdy z nas, każdy w swoim zakresie, każdy w swoim sposobie; chcemyli ocalić nasze własne zbawienie, musimy zdobyć ziemię dla zbawienia: nie wolno nam chrześciaństwa zbywać niebiem, które i tak do niego należy; droga do nieba prowadzi przez ziemię.

W tem mieści się zadanie katolickiej prasy.

Od dnia, w którym Pius IX. ogłosił syllabus, rozpoczęła się walka katolików przeciw liberalizmowi. Nie mogło też być inaczej. Walka z początku była teoretyczną, zasadniczą. Protestowano; ale wobec objawów życia, na wskroś przesiąkniętych liberalizmem, walka była raczej głosem żałoby, niż zapasami z widokiem na zwycięzenie przeciwnika. Było to słabą stroną katolickiej prasy w powiciu, lecz taka słabość właściwą jest zawsze wiekowi dziecięcemu.

Naturalnie nie wielu w ogóle znajdywały pisma katolickie czytelników, jeszcze mniej zaś takich, którzyby mogli lub chcieli oprócz nich innych pism nie czytać. Ta znaczna część naszych współczesnych, która w walce pomiędzy chrześciaństwem a liberalizmem skłoniła się stanowczo na stronę drugiego, nie abonowała naturalnie dzienników katolickich. Wierni katolicy byli zaiste w trudnem położeniu: brzydzili się zabójczą liberalną literaturą — ale sama negacya pism katolickich nie mogła zaspokoić ich potrzeb wobec wymogów życia praktycznego. A więc nawet po ogłoszeniu syllabusa — abonowali dalej swój dziennik liberalny, przełykali z mniejszym lub większym wstrętem obelgi, któremi ich codziennie częstowano, oburzali się na bluźnierstwa a jednak na drugi dzień znowu je czytali. Niepokoiło się wprawdzie ich sumienie niebezpieczeństwem, grożącem córkom i synom, którym każdego ranka przynosili truciznę do domu, ale cóż robić, skoro bez wiadomości dziennikarskich nikt nie potrafi się obejść. Kto mógł i chciał, prenumerował nadto dziennik katolicki, spełniając niby uczynek miłosierdzia a jeżeli go czytał, to z tem samem uczuciem, lub z przeświadczeniem, że wypełnia pokutę. Było to coś w tym rodzaju, jak post u niektórych katolików: zjadłszy w piątek kilka potraw mięsnych, każą sobie podać także rybę.

Wśród takich okoliczności nie mogło się powodzić prasie katolickiej ani moralnie ani materyalnie. Kto wie, że się jego dzieł nie czyta wcale lub czyta tylko z łaski, ten musiałby być więcej niż człowiekiem, aby nie stracić zapału, nie stracić odwagi; w rezultacie to, co czytano jako *opus operatum*, było też w tym sposobie pisane.

Publiczność, aby się usprawiedliwić przed sobą samym, przed Bogiem i przed równie myślącymi z nieprenumerowania i nieczytania dzienników katolickich, przywykła krytykować te dzienniki ostro i bezwzględnie, nie darowując najmniejszego błędu lub zapomnienia. To było ostatecznym ciosem dla prasy katolickiej a zapewniało nieograniczone władanie prasie liberalnej.

Nieznośnemu położeniu prasy katolickiej i jej nienaturalnemu stosunkowi do własnego obozu potrzeba było położyć tamę. Na nic się nie zdały napomnienia, na nic wyrzuty sumienia; sprzeczność między potrzebami życia codziennego, ukształtowanego na sposób liberalny a obowiązkiem chrześciańskim rozstrzygano zazwyczaj na niekorzyść tego obowiązku. Wszystkie środki, których używano, działały tylko chwilowo: jak długo zadowalniano się tem, że chrześcianinem dość być w kościele, poganinem zaś w życiu codziennem, tak długo pisma liberalne bezwarunkowo musiały odnosić zwycięstwo. Subwencye, których niektórzy, b a r d z o n i e l i c z n i, katolicy nie szczędzili, rozpływały się jak kropla wody w morzu; usiłowania dzielnych pracowników, którzy wstępowali dobrowolnie w szeregi pisarzy katolickich, nie miały uroku dla publiczności. Wszystko to nie odnosiło skutku: prasa, która tylko protestuje, przeczy, żali się na niezaprzeczalne zepsucie świata, ale nie podaje *in concreto*, jak go poprawić, nie może mieć powodzenia. Nie wystarczy głosić ludowi katechizmu; należy mu pokazać, jak go zastosować można i potrzeba w praktyce na każdym kroku codziennego życia, bo dziennik jest właśnie przeznaczony dla tego codziennego życia. Zapewne, nie tak to łatwe i proste, jak żalenie się, przeczenie i protestowanie, (co zresztą także ma pewną wartość). Ale mężów, których zdrowa i silna natura posiada dość odporności przeciw zarazkom liberalizmu, aby bez szkody oddychać mogli zakażonem powietrzem, mężów, którzy obok wyrozumienia dla praktycznych potrzeb dzisiejszej chwili posiadają dość wiedzy, dość wiadomości filozoficznych, prawniczych i historycznych, aby wskazać, jak dla odwiecznego, naturalnego, objawionego prawa krok za krokiem odzyskiwać teren, jak owe wielkie, wieczne idee, które z mniejszą lub większą jasnością objawiały się w historyi, zastosować w teraźniejszości, mężów takich nie znajdzie na zawołanie; mężowie tacy wyjątkowo chyba zgodziliby się poświęcić swe siły prasie, ubogiej w pieniądze i czytelników, z góry niechętnie widzianej, lekceważonej i niepewnej; jeżeliby zaś to uczynili, wiedzeni niesamolubnym zapałem dla sprawy Boga i ludzkości, to z pewnością nie mogliby i nie chcieliby być powolnymi sługami i pochlebcami niskich interesów partyjnych. Lecz już Goethe powiedział: „ludzie myślący poważnie i głęboko źle mają stanowisko wobec publiczności".

Koniecznem więc jest, aby publiczność katolicka, ta przedewszystkiem, która czyta dzienniki większe, pisane w tonie poważnym, nabrała stanowczego przekonania, że nie wystarcza modlić się w kościele po katolicku a poza nim myśleć, działać i żyć „liberalnie", że nie wystarcza zasady konserwatywnie-katolickie zachowywać w tych tylko stosunkach życia codziennego, w których to godzi się z własnym interesem, lecz że czynić to należy zawsze i wszędzie bez wyjątku. Świadomi katolicy muszą przyjąć zasadę, że nowoczesnym prądom przeciwstawić należy zapatrywania chrześciańskie na każdem polu, w każdym konkretnym wypadku życia społecznego, państwowego i gospodarczego i że tym zapatrywaniom wywalczyć należy uznanie. Dlatego w prasie powinni głos zabierać tylko tacy mężowie, którzy potrafią sprostać temu zadaniu na podstawie gruntownego, umiejętnego wykształcenia w tym lub owym kierunku. Walki nie wolno prowadzić abstrakcyjnie; nie, na każde konkretne pytanie winno się dać stosowną, konkretną odpowiedź chrześciańską.

Jeżeli wykształcona publiczność wymagać tego będzie od swoich dzienników i jeżeli nabędzie prawa do takich wymagań moralnem i materyalnem poparciem, to usunie się z dzienników katolickich największe złe, które, co prawda, już się zmniejsza, złe, o którem mówi dr. Schläffle: „Do zwyrodnienia dziennikarstwa przyczynił się nie mało niedostateczny rozwój umiejętności społecznych. Gdyby umiejętność ta w przybliżeniu przynajmniej dochodziła do tak pewnych, wyników, jak nauki przyrodnicze, to położonoby tamę szarlataneryi w polityce, frazeologii w prasie, okłamywaniu publiczności, zanieczyszczaniu dzienników szumowinami płatnej sofisteryi".

Prasa katolicka pracować musi na gruncie pozytywnym. Chrześciaństwo powinno być nie tylko w kościele; duch jego musi owładnąć znowu całem życiem politycznem, społecznem, gospodarczem i umiejętnościowem, dzienniki katolickie zaś stać się powinny takimi, aby ich lektura nie była aktem pobożnego zaparcia się, lecz wypływała z przekonania, że podają najprawdziwsze wiadomości o wszystkich kwestyach żywotnych na każdem polu. Wtedy uratujemy przedewszystkiem siebie przed liberalizmem, potem tych liberalnych, którzy mają jeszcze dobrą wolę, wreszcie tych niezdecydowych, którzy zwykli iść za silniejszymi.

SŁOWO
o zmianie podręcznika teologii moralnej.

(Ciąg dalszy.)

Czy na miejsce Mullera dałoby się wprowadzić innego autora, nowszego, głębszego, uwzględniającego nowszą literaturę i nowe prądy i błędy? Krótko mówiąc, autora, któryby tak zastosował się do planu austryackiego, jak Muller, nie ma; Austrya nie jest płodna w dzieła tej gałęzi literatury kościelnej. Gdzie wina leży, czy w gimnazyach, dających więcej ekstenzywne, jak intenzywne wykształcenie, czy w pleśni józefinizmu, osiadłej na duchowieństwie przez całe lat dziesiątki, czy w jednem i drugiem, nie moja rzecz tu się rozwodzić. Konstatuję tylko fakt, że która dobra książka teologiczna ukazuje się, można być pewnym, że pochodzi z zagranicy. Jest też wiele teologii moralnych, napisanych przez Jezuitów, Redemptorystów, ale wszystkie supponują znajomość filozofii, przynajmniej filozofii moralnej. Jedno i jedyne wyjście, wśród obecnej sytuacyi (bo nie wiadomo jakiej zmianie ulegną studya może w bliskim czasie) jest, wziąć za podstawę do ogólnej moralnej podręcznik filozofii, powybierać z niego kwestye odpowiednie w szczególności *de hominis fine, beatitudine, de norma moralitatis* i część socyologii a potem wziąć się do podręcznika teologii moralnej zagranicznego, osnutego na tle dekalogu.

Lecz który z podręczników filozofii jest najodpowiedniejszy?

Podręcznik powinien być jasny, przejrzysty, łatwy, zwięzły, dowody mieć przekonywujące, uwzględniać błędne teorye i zbijać je, następnie powinien być tani a to ze względu na biednych słuchaczy, (jakimi są zwykle klerycy), którzy oprócz filozofii mają sobie jeszcze kupić teologią moralną. Gdyby nie ta ostatnia okoliczność, uważałbym za najodpowiedniejszą i najlepszą filozofią Ferrottego. Lecz trzy tomy są za obszerne dla kleryka i za drogie, dla profesora nieoceniona rzecz. Costa-Rosetti jest głęboki, ekonomią społeczną *ex professo* traktuje, lecz niezmiernie ciężki. Dzieło Cathreina *die Moralphilosofie* nie nadaje się ze względu na język i wysoką cenę. Z kłopotów tych wybawił nas tenże autor, przerabiając swą filozofią dla uczniów i skracając ją. Wyszła u Herdera pod tytułem *Philosophia moralis an. 1894.* Rozkład materyi bardzo dobry, dowody silne, w socyologii nie prześcigniony,

zresztą wsławił się już rozprawami, pojawiającemi się przez kilka lat w *Stimmen aus Maria-Lach*.

Mojem zdaniem należałoby wziąć z niego *de fine hominis, de interno discrimine inter bonum et malum*, błędne teorye *de moralitate*, jak *autonomia rationis, utilitarismus, positivismus moralis* — następnie *de lege aeterna, naturali*, niektóre paragrafy z socyologii, jak *de socialismo, de iure proprietatis, de societate, auctoritate civili, de liberalismo etc.* W ciągu zaś wykładów moralnej szczegółowej należałoby zwrócić uwagę na tezę *relatio ordinis iuridici ad moralem* i czasem sięgnąć po dowód rozumowy. W ten sposób miałby teolog lepsze podstawy do moralnej szczegółowej i klucz do rozumienia socyologii. Uzupełnić musiałby profesor Cathreina wykładem tez *de gloria Dei*, w części *de norma moralitatis* (w Cathreinie jest zawiele i trudno to przedstawione) i *de libero arbitrio*. Z tych pierwsze dwie są bardzo ładnie obrobione w Ferrotim, ostatnia w dziełkach Morawskiego i Gutberleta. Inne partye jak *de voluntario, conscientia*, w części *de lege* miałby teolog w podręczniku teologii moralnej.

Lecz jakiż znów podręcznik moralny wybrać? Mamy dość teologów moralistów i ciekawa rzecz, że wszyscy, powszechnie znani, są to zakonnicy, którzy widocznie przypuszczają, że ich czytelnik, po przestudyowaniu filozofii zabiera się do teologii moralnej. To znów przemawia za potrzebą gruntowniejszego traktowania u nas filozofii moralnej, przynajmniej w tej rozciągłości, jak to wyżej wyłuszczyłem. Rozpatrzmy się w nich pokrótce. Lehmkuhl celuje powagą, gruntownością i uczonością, lecz jest za trudny dla kleryka, znakomity do podręcznego użycia dla księdza, który już zna moralną. Aertnys, Belgijczyk, redemptorysta, jest zanadto zwięzły. Bucceroniego moralna jest gruntowna, źródłowa, oparta na św. Alfonsie i Tomaszu, uwzględnia przepisy prawa kanonicznego; profesor znajdzie tam skarbiec cytatów z prawa, lecz ze względów dydaktycznych nie oświadczyłbym się za tym autorem. Scavini, przystępny, łatwy, lecz nadto obszerny. Gury-Ballerini, jasny lecz może dla teologów za krótki, supponuje dwie wiedzy filozoficzne, dla księży parafialnych bardzo dobry.

Mało znana jest u nas moralna, której tytuł: *Institutiones morales Alphonsianae, auctore Clemente Marc*. O tym autorze pomówię więcej, gdyż on mi się nadaje jako najodpowiedniejszy dla kleryków.

Napis dzieła podyktował autorowi pietyzm dla swego zakonodawcy, lecz nie jest to bezmyślna reprodukcyą moralnej św. Alfonsa. Wprawdzie nauka tego Doktora Kościoła służy Marcowi za gwiazdę przewodnią, lecz jest on samodzielny, zdania przytacza różne, przetrawił dobrze naukę św. Alfonsa, ugrupował ją, systematycznie ułożył, dodał objaśnienia obszerne i jasne, wyciągnął wiele konkluzyi praktycznych, oparł się na swem doświadczeniu. Może czasem jest za surowy, n. p. w paragrafie o tańcach, lecz zwykle przytacza także zdania wolniejsze, tak że profesor, znający Lehmkuhla i Gurego może łatwo zwrócić uwagę na opinie mniej surowe. Podaje wiele, bardzo wiele uwag praktycznych, wskazówek ascetycznych, według których może spowiednik penitenta rany goić, błędy poprawiać, chęci dobre wpajać, postanowienia podtrzymywać, na drodze doskonałości prowadzić. Szóste przykazanie obrobione jest bardzo starannie, w traktacie *de iustitia* uwzględniony kodeks austryacki. Słowem, jest to autor tak praktyczny, że nie dziwuję się, że OO. Redemptoryści wyłącznie nim się posługują i świetne rezultaty swej pracy osiągają.

Porównując go z Mullerem mogę powiedzieć, że jest od niego nawet łatwiejszy, bo jaśniejszy, w dowodach głębszy i ściślejszy, w konkluzyach dalszy, w objaśnieniu porządniejszy, w zastosowaniu praktyczniejszy, w rozmiarze materyi proporcyonalniejszy. Autor ten wiele korzystał z Mullera, podziały, principia wziął z niego tak, że nie raz słowo w słowo z nim się zgadza. Wytłómaczyć to jeszcze można tem, że obaj czerpali z św. Alfonsa i całe zdania a nawet ustępy z niego wyjęli — tylko, że lepiej je przetrawił Marc niż Muller.

Co do systemu moralnego, to jest aequiprobabilistą, lecz w rzeczy samej nazwałbym go raczej probabilista moderatus; zresztą Lehmkuhl, sam probabilista zdecydowany, powiada: *ut de aequiprobabilismo pauca dicam, hoc systema, si non stricte vim vocis, sed sensum eorum, qui eum profitentur, accipiamus, vix a probabilismo discrepat.... Utut s. Alphonsus in posterioris aetatis suae scriptis aequiprobabilismum profitetur, tamen vix ullam sententiam probabilistarum, modo vere probabilis sit, expunxit, aut licitam practice esse negavit. Th. mor. t. I. n. 77.*

Jeszcze jedno dodam, zaletą Mullera jest wielką, że podaje kazusy; kto tylko spróbował z klerykami rozbierać i rozwiązywać kazusy, ten się przekonał namacalnie, ile ta praktyka przysłuża się do zrozumienia principiów, jak ona wprowadza teoryą w krew i kość słuchaczy, jak wdraża ich w myślenie samodzielne i przygotowuje do słuchania spowiedzi. Nie ma tych kazusów Marc, lecz zaradzić można temu bardzo łatwo, jeżeli w bibliotece seminaryjskiej lub uniwersyteckiej będzie kilka egzemplarzy Gurego kazuistyki. Rozkład w Gurym i Marcu jest taki sam, więc ułatwione będzie czytanie.

Oba dzieła i filozofią Cathreina i *institutiones* Marc'a można dostać u Herdera, pierwsze kosztuje 4.35 franków, drugie 13 franków; zapewniony jest rabat. Oba więc dzieła razem będą nawet mniej kosztować niż sam Müller.

Gdyby się połączyło Marc'a z Cathreinem, sądzę, że klerycy wieleby zyskali na wiadomościach, tak teoretycznych, jak i praktycznych, nauka cała byłaby gruntowniejszą i praktyczniejszą. Marc'a takby pokochali, że stałby się nieodstępnym i wystarczającym towarzyszem w czasach kapłaństwa, do Cathreina również częstoby zaglądnęli przed każdą dyskusyą ogólno-moralną.

Nie jestem do tyla zarozumiałym, abym sądził, że podaniem tych kilku uwag na podstawie praktyki profesorskiej, życiowej i parafialnej, jako też studyów mych nad moralną, przekonam wszystkich kapłanów i profesorów i nakłonię mych kolegów w zawodzie do takiej zmiany podręcznika. Nie sądzę także, aby taka zmiana miała być ostatnim wyrazem w tej sprawie.

Celu jużem dopiął, jeżeli łaskawego czytelnika skłonię tylko do zastanowienia się nad poruszoną sprawą. Zresztą chętnie przyjąłbym radę lepszą w tym względzie, gdyby ją kto podał.

Jeszcze jednę uwagę radbym mimochodem wypowiedzieć, aby ulżyć sercu. Dewizę *viribus unitis*, wszędzie i na każdem polu wywieszono: mężowie rozmaitych zawodów łączą się, by wspólnie nad wspólnem lub ogólnem dobrem zastanowić się i działać. Czyżby tego hasła nie można z korzyścią zastosować także do studyów teologicznych? Ściślejszy związek profesorów teologii tak uniwersyteckich jak seminaryjskich, zgromadzania się w celach naukowych, dyskusye poważne, choćby tylko taki wydały owoc, żeby zaprowadzono w całej Galicyi te same dobre podręczniki, jużby wiele zdziałały. — A czyż nie mamy innych spraw wspólnych, nad któremi wartałoby się zastanowić *viribus unitis*?

Ks. dr. K. Szczeklik.

Z dziedziny homiletyki.

I.

Najłatwiej byłoby mi zacząć te uwagi od ogólnikowych utyskiwań na powszechnie znane błędy i niedostatki, które aż nazbyt często pozbawiają pracę kaznodziei i u nas i w całym świecie katolickim pożądanych owoców. Nie chcę jednak powtarzać rzeczy, który każdy z nas czytał w tym lub owym podręczniku homiletyki i słyszał w seminaryum, o kapłanach,

którzy „leją“ nauki swoje, bez żadnego przygotowania, — o innych, którzy przygotowują się źle, bo czerpią ze źródeł skąpych i mętnych, — o jeszcze innych, którzy osnowę nie najgorszą wygłaszają w sposób, urągający wszelkim prawidłom dobrej pronuncyacyi i t. d. — Pragnę raczej podać młodszym konfratrom pewne wskazówki ile możności praktyczne i w tym celu rozważyć przedewszystkiem pytanie, czemu wielu dobrych zresztą i słusznie poważanych księży nie wywiązuje się należycie z trudnego zadania kaznodziei.

Ponieważ mówię tylko o dobrych kapłanach, więc nie będę przytaczał najgłówniejszych warunków, bez których nie może obyć się wymowa duchowna a które streszczają się w słowach: żywa wiara, miłość nieobłudna, gorliwość w sprawie zbawienia dusz, codzienne rozmyślanie, duch modlitwy, życie umartwione; — ale wymieniam, jako pierwszy warunek, bez którego nikt nie zostanie dobrym kaznodzieją, jeżeli nie otrzyma darów nadzwyczajnych: usilne studyum i naśladowanie znakomitych mężów. Ależ o tem wiedzą już wszyscy i aż do znudzenia czyta się i słyszy o wzorach! Zapewne; wszelako niech mi wolno będzie zapytać, czy w rzeczy samej dzieła pierwszorzędnych kaznodziei są bardzo rozpowszechnione, albo czy może pisarze, jak Zollner i cały szereg zacnych zresztą Niemców, z których i u nas korzysta się dużo, zaliczają się do wzorowych? — czy można im przyznać zalety, któremi odznaczać się musi wszelka wymowa a szczególnie kościelna: ową jędrność, siłę, potęgę, serca kruszącą, ową szlachetną popularność, która polega na wysłowieniu jasnem i dobitnem, unikającem wyrazów oderwanych i ludowi nieznanych, na żywej rozmowie, na porównaniach prostych a trafnością swoją uderzających? Wszakże O. Jungmann sam jest Niemcem a w swojej książce o wymowie kościelnej przyznaje powyższe przymioty tylko jednemu Bertoldowi z Regensburga z pomiędzy rodaków swoich! Nikt nie przeczy, że można w nich znaleść dużo dobrych myśli i rozumowań, dużo cytatów, pracowicie zebranych i wyjaśnionych, ale te myśli trzeba przelać w inną formę, zapatrując się na inne, godniejsze naśladowania wzory, które zaleca między innymi także O. Schleininger w znakomitem i wyczerpującem dziele swojem p. n. *Das kirchliche Predigtamt.* [1]) Wzorów tych dostarczają przedewszystkiem obok Ojców kościoła: Św. Leonard a Porto Maurizio (którego kazania postne wyszły w nowem opracowaniu niemieckiem w r. 1882. u Manz'a); Św. Jan de Avila (dwa tomy jego kazań o Najśw. Sakramencie wyszły w tłómaczeniu niemieckiem, niestety dość lichem, tamże w r. 1881); Segneri (kazania postne i o obowiązkach chrześciańskich są przełożone na język niemiecki); Vieira (bardzo dobry przekład niemiecki wydał Schermer w roku 1858 sqq. u Manz'a); Bossuet, Bourdalone, Fenelon, Massillon, Mac Carthy (w polskim przekładzie znam tylko liche wydanie kilkunastu kazań postnych Bourdalone'a i bardzo złe tłomaczenie Massillon'a przez ks. Jabłonowskiego, wydane r. 1785 w Krakowie), Skarga. Naturalnie mógłbym wymienić jeszcze cały szereg bardzo dobrych kaznodziejów, zwłaszcza z pomiędzy Francuzów (jak Le Jeune, Brydaine, Lacordaire etc.) i Włochów (jak Tornielli, Turchi etc.), ale poprzestaję na tych najsłynniejszych nazwiskach i pytam się, czy u nas wielu kształci się na tych wzorach? Zdaje mi się, że oprócz Skargi inni mało są znani a za to są aż nadto rozpowszechnione rozmaite niemieckie „biblioteki dla kaznodziejów“, z których nie można nauczyć się wymowy, które uczą tylko niedbałego powtarzania cudzych myśli — bardzo rozwodnionych, uczą uważać zwroty dobitne, piękne i porywające za zbyteczne w kazaniu „ozdoby“.

Otóż przedewszystkiem musimy zdać sobie sprawę z tego, co nazywa się „zbyteczną ozdobą“ a co należy do istoty wszelkiej wymowy a więc i kaznodziejskiej? Jeżeli ktoś tylko dla upiększenia swojego stylu szuka przenośni i zwrotów poetycznych i ubiera nimi swoją treść suchą i jałową trybem studenckim, — jeżeli n. p. św. Jana woli nazywać „orłem z wyspy Patmos“, niż po prostu ewangelistą, albo unosi się na zimno nad pięknością „kwiateczków polnych“ i świegotaniem ptasząt, albo wtrąca wykrzykniki i apostrofy, które nie płyną z serca, jak n. p.: „Bogaczu! może szerzysz pieniądzmi swymi niemoralność!“ etc. — będą to rzeczywiście niepotrzebne, co więcej, niesmaczne ozdoby. Próżna to deklamacya, kiedy się prawi o młodych i starych orłach, o łzach krokodylich ludzi twardego serca, o arsenale czartowskim, o zębie czasu, o fiołku pokory, lilii niewinności i t. p. rzeczach oklepanych, ażeby przecież nadać swojemu wysłowieniu jakieś pozory krasomowczego polotu i nie razić wykształconych słuchaczy prostotą, stosowną dla ludu! Ale stąd nie wynika bynajmniej, że kaznodzieja nie potrzebuje zadać sobie pracy i uczyć się dobrego stylu, aby myślom swoim umiał nadawać jak najlepszy wyraz, że spełni już swój obowiązek, jeżeli będzie mówił do rzeczy i pod względem treści pozostanie z nauką Kościoła w zupełnej zgodzie: „Skoro sztuka wymowy“ mówi św. Augustyn (de doctr. christ. lib. IV) „i prawdę i fałsz może głosić, któż ośmieli się twierdzić, że prawda ma być w obrońcach swoich wobec kłamstwa bezbronną? Więc ci, którzy fałsze usiłują wpajać, będą umieli zręcznym wstępem pozyskać sobie przychylność lub uwagę słuchacza i czynić go skłonnym do przyjęcia swej nauki a dobrzy nie mają posiadać tej sztuki? Tamci będą opowiadali fałsze krótko, jasno i z pozorem prawdy; a słowa obrońców prawdy mają być niemiłe ku słuchaniu, niezrozumiałe, nie zachęcające do wiary?... Tamci będą umieli, zalecając błędy i do nich ciągnąc, duszę słuchacza mową swoją straszyć, zasmucać, rozweselać, zapalać; a słowa prawdy mają być letnie, oziębłe, drzemiące? — Któż jest tak nierozumny, żeby na to się zgodził? — Skoro więc istnieje sztuka wymowy, z której pomocą i prawda i błąd się rozpowszechnia, czemuż nie nabywają jej dobrzy, aby służyła prawdzie, jeżeli jej używają źli w celach niegodziwych i przewrotnych?

Nie znaczy to więc „bawić się w retorykę“, zamiast mówić „po prostu i od serca“, jeżeli kaznodzieja całymi dniami i zbiera i układa myśli i nadaje im stosowny wyraz, nie chcąc poprzestać na przeglądnięciu jakiegoś gotowego kazania ani nie spuszczając się na swój dar improwizacyi; dobry bowiem rozkład całości, dobre wysłowienie i stosowne używanie zwrotów krasomowczych należy do niezbędnych warunków wszelkiej wymowy, godnej tego miana. Mylnie zaś zapatrują się na wymagania „retoryki“ ci jej przeciwnicy, którzy przeciwko niej powołują się na „prostotę“ pism św., słów Zbawiciela i listów apostolskich, bo owszem pismo św. stanowi najbogatszą kopalnię zwrotów retorycznych, (z której niestety czerpie się za mało); czyż są n. p. gdziekolwiek wspanialsze obrazy od tych, które malują prorocy, (porów. upadek Babilonu u Jerem. 50, 41—46; 51; Ezech. 37, 38 i t. d.)? Nie ma w ogóle figury, którąby nie powtarzała się wielokrotnie w księgach św.; „sermocinatio“ znajduje się u Jerem. II. (w kilku miejscach) Mądr. II. i t. d.; „exclamatio“; Gal. III, 1: „repetitio“ II. Kor. 11, 22 i t. d. a ileż porównań, ile pytań („interrogatio“) zawierają słowa samego P. Jezusa! Żadna bowiem figura nie jest wymysłem retorów, ale każda jest naturalnym wynikiem uczucia: ilekroć jesteśmy wzruszeni, ilekroć myśl jakaś nie tylko zajmuje nasz rozum, ale także przemawia do wyobraźni i do serca, powstają same przez się zwroty krasomowcze. Jednakowoż ta

[1]) W cennem dziele swojem p. n.: „Rozmyślania o życiu kapłańskiem“ (Kraków 1892 r.) wymienia ks. dr. Pelczar (I, 312) jako „celniejsze podręczniki do kaznodziejstwa: ks. Szpaderskiego „O zasadach wymowy“, ks. Lipnickiego „Zasady kaznodziejstwa“ i Jungmann'a „Theorie der geistlichen Beredsamkeit“, pomijając (może przez zapomnienie) Schleininger'a, z którego dziełami („Grundzüge der Beredsamkeit“, „Das kirchliche Predigtamt“ wyd. 3-cie 1881, i „Muster des Predigers“ wyd. 2-gie 1882) chyba tylko książka Jungmann'a (z pomiędzy wymienionych powyżej) może poniekąd wytrzymać porównanie (bardzo dobre wskazówki podaje także Hettinger „Aphorismen uber Predigt und Prediger“ 1888).

wymowa wrodzona, którą zwłaszcza u kobiet nieraz można podziwiać, nie czyni jeszcze nikogo **mówcą**; trzeba zdolność tę kształcić, trzeba uczyć się od mistrzów używać środków stylistycznych z całą świadomością ich znaczenia i celu.

(Ciąg dal. nast.)

X.

SALEZYANIE.*)

(Ciąg dalszy).

Po Włoszech najbardziej się rozszerzyli Salezyanie *w południowej Ameryce*. Tam mają pod sobą dwa wikaryaty apostolskie i jedną prefekturę apostolską, to jest: wikaryat Patagonii, wikaryat Mendez i Gualaquiza i prefekturę południowej Patagonii.

W Argentynie roku zeszłego zbudowali 6 kościołów, a pomiędzy nimi wspaniałą świątynię na przedmieściu Almagro w Buenos Ayres. [1])

Przed kilkunastu laty najpierw osiedli w Buenos Ayres na przedmieściu Boca, położonem nad samym portem. Arcybiskup miejscowy utworzył tamże dla nich parafią. Z początku odprawiało się tam nabożeństwo w ubożuchnej kaplicy. Doznawali tam Salezyanie wiele przykrości od emigrantów włoskich, przeważnie w tej dzielnicy osiadłych. Lecz wkrótce głównie ci sami prześladowcy dopomogli do budowania okazałego kościoła i dwóch kolegiów. Kościół ten obejmie pięć tysięcy ludzi. W dzielnicy zaś miasta, która się nazywa Pueblo de Barracas al Norte mają kościół św. Antoniego, szkoły dzienne i kaplicę świąteczną. Na przedmieściu Almagro mają kościół o 3 nawach, internat na 500 chłopców, w którym są warsztaty różnego rodzaju. A wreszcie w parafii S. Telmo w Buenos Ayres mają Salezyanki internat żeński i kaplicę, w której codziennie od rana do wieczora 20 — 30 kobiet pobiera naukę religii. Roku zeszłego odbyło się w tejże 41 konwersyi z innych wyznań.

W S. Nicolas de los Arroyos mają Salezyanie kościół Serca Jezusowego, kolegium męskie i żeńskie. W kolegium wychowuje się 500 chłopców.

W Choele-Chel mają parafią Salezyanie.

W De los Indios mają Salezyanki zakład.

W Carmen w Patagonii jest internat żeński i szpital chorych pod kierunkiem i zarządem Salezyanek.

W Sant' Isidoro jest także zakład żeński.

W La Plata, w mieście liczącem 50.000 mieszkańców, które jednak dopiero przed dwunastu laty powstało, jest zakład Salezyański męski.

Trzy dni drogi od Buenos Ayres w Bahia Blanca mają Salezyanie parafią i kolegium na 200 alumnów. W obrębie tejże parafii mieszka kilka rodzin polskich i 3 tysiące Niemców, przybyłych z Rossyi. Przebywa tu Salezyański kleryk Stanisław Cynalewski, który pochodzi z okolic Poznania i brat Jakób Sikora, Górnoszlązak. Obu przywiózł z Europy ks. biskup Cagliero, wikaryusz Patagonii. Stanisław Cynalewski otrzyma w krotce święcenia kapłańskie. Jest to jeden z najzdolniejszych i najcnotliwszych wychowanków kolegium Valsalice w Turynie. Brat Jakób Sikora jest znakomitym rolnikiem.

W Moron przy Buenos Ayres jest kościół Salezyański i zakład żeński.

W mieście Patagones jest parafia i i kolegium męskie i żeńskie.

W Rosario di Santa Fe, mieście liczącem przeszło 70.000 mieszkańców, jest kościół Salezyański, kolegium męskie i żeńskie.

We Viedma w Patagonii jest punkt centralny misyi Salezyańskiej. Tam mają parafią, kolegia dla Indyanów i dla Indyanek, szpital chorych pod wezwaniem św. Józefa własny i obserwatoryum meteorologiczne. Ksiądz Garrone Salezyanin jest lekarzem zawołanym, do którego o kilkadziesiąt mil przyjeżdżają chorzy.

W General Roca w Patagonii jest stacya misyjna. Przed dwoma laty mieszkało tamże w „ranchos" t. j. w chacie bez okien 4 Salezyanów. W tymże ranchos była oraz kaplica i szkoła dla 18 wychowanków.

W Rawson (Chubut), w centralnej Patagonii jest osada rolna, przy której pracują Salezyanie i ich Siostry zakonne.

W Puntasarenas nad cieśniną Magellańską mają Salezyanie ładny kościół z drzewa a kaplicę ich Siostry. Jest tamże obserwatoryum meteorologiczne, które wydaje sprawozdania drukowane. Również istnieje tam internat dla Indyanek ze Ziemi Ognistej

W Guandia Pringles w Patagonii są czynni Salezyanie i Salezyanki. Są tam szkoły i internaty męskie i żeńskie.

W Cubanca również działają Bracia i Siostry.

W Benual i w Mendoza są kościoły i zakłady Salezyanów.

Na wielkiej wyspie Ognistej jest stacya wychowawcza Indyan i drugi nowy dom dla szczepu Onas. Najpierw namawiają Salezyanie Indyan, iżby z nimi społem osiedli i zaprzestali życia koczowniczego. Pokazują im kilka domków, zbudowanych z drzewa, które im na własność ofiarują i suknie z materyi fabrycznych. Gdy się na stałe osiedlenie godzą, Salezyanie biorą mężczyzn a Salezyanki niewiasty, strzygą im włosy i prowadzą nad morze. Myją ich dobrze mydłem a potem zdjąwszy z nich skóry zwierzęce, okrywają ich odzieniem ludzkiem. Przyodziawszy ich uczą katechizmu, uprawy ziemi, hodowli bydła, rzemiosł, czytania, pisania i t. d. Zimą zwyczajnie czynią z nimi wyprawy do lasów odwiecznych, skąd sprowadzają drzewo na mieszkania dla nowych neofitów, którzy rekrutują się z wysepek rozsypanych na około Wielkiej wyspy. Liczba tych wysepek, dochodzi do tysiąca. Razu jednego katechumeni podnieśli rokosz, w którym zginął brat Salezyanin Silvestre.

Druga stacya wychowawcza misyjna znajduje się na wyspie Dawson, którą rząd chilijski odstąpił Salezyanom pod zupełny zarząd na lat 20. Osada indyjska jest w pełnym rozkwicie. Przed dwoma laty utworzono tam także internat, w którym wychowywało się 18-tu chłopców, synów Indyan ziemi ognistej. Na wyspie Dawson pracuje Salezyanin Jan Sikora, brat wspomnianego Jakóba Sikory i kleryka Piotra, prefekta w zakładzie Salezyańskim w Miejscu.

W Chuchunco przy S. Jago w Chili mają Salezyanki zakład wychowawczy dla Indyanek.

W Santjago mają Salezyanie i Salezyanki powierzony od rządu chilijskiego kierunek „schroniska narodowego", w którem wychowuje się 150 chłopców a 200 dziewcząt, sierot pozostałych po ofiarach ostatniej rewolucyi. Tamże mają także kościół publiczny.

W Concepcion w Chili mają Salezyanie internat na kilkuset chłopców.

W Panguehue mają osadę rolną.

W Chas Malal w Patagonii chilijskiej mają kolegium i stacya misyjną. Ze stacyi misyjnych czynią w kilka koni wyprawy w głąb rozległych swoich parafii zwykle w towarzystwie brata katechety. Po drodze kapłan naucza, chrzci, spowiada, błogosławi związki małżeńskie ochrzczonych a nawraca Indyan. Najprzykrzejsze i najniebezpieczniejsze są wycieczki w góry, zwłaszcza 2000 — 4000 stóp położone ponad poziomem morza. Przed 7-iu laty ks. Biskup Cagliero w takiej przeprawie przez Kordyliery stoczył się z mułem w przepaść a poraniony ciężko przeleżał się przez kilka tygodni.

---

*) Porównaj Nr. 33.

[1]) W Buenos Ayres jest 8 tysięcy Polaków, ubogich rozrzuconych pomiędzy żydami i protestantami.

Ksiądz Salezyanin Milanesio na tych wycieczkach misyjnych nawrócił w przeciągu jednego roku około 500 Indyan. Mówi dyalektami indyjskimi jak rodzony Indyanin. Przed kilkoma miesiącami odwiedzał on miejsce swoje rodzinne, Settinio, miasteczko oddalone od Turynu o 2 mile. Rodacy zgotowali mu świetną owacyę. Wyszli z muzyką na kolej po niego i nieśli go na rękach do kościoła.

Ksiądz Gavotto niedawno temu, bawiąc 70 dni na wyprawie misyjnej, gdy wstąpił do jednego domu Salezyańskiego w Patagonii, o kilkaset mil oddalonego, był tak obdarty, iż z wielką biedą uznano w nim księdza i puszczono go do ołtarza. Ks. Gavotto wstąpił do Zgromadzenia licząc lat 30 a po 10-letniej bardzo gorliwej nauce wyświęcony na kapłana został posłany prosto do Patagonii. Dopiero 4 lata jest kapłanem.

W rzeczypospolitej chilijskiej mają Salezyanie jeszcze domy: w Assoncion, w Los Angeles, w Valparaiso i w Talca w Patagonii.

Ludność rzeczypospolitej chilijskiej, dawniej ochrzczona a osobliwie pochodząca od pierwszych osadników hiszpańskich odznacza się głęboką religijnością i czcią dla kapłanów. Misyonarze Salezyańscy na swoich wycieczkach misyjnych często muszą tam spowiadać ludzi od godziny 5. rano do 11. wieczorem. Zobaczywszy kapłana Chilijczycy zdaleka kłaniają się mu nisko i pozdrawiają go głośno. Bardzo wiele do rozbudzenia tego ducha religijnego w Chili przyczynił się nasz rodak Ignacy Domejko, który założył w Sant Jago uniwersytet, urządził go i nim kierował prawie przez lat 50 i nie tylko nauczał w duchu chrześciańskim, ale i żył w tym duchu. Codziennie słuchał mszy św. w kościele na klęczkach. On wychował dwie generacye intelligencyi chilijskiej. Stąd od Chilijczyków „ojcem ojczyzny" zwany. To słyszałem z ust duchownych i świeckich Chilijczyków. Dla tego i cześć dla Polaków ogółem w Chili jest wielka. (C. d. n.)

KRONIKA KOŚCIELNA.

Rzym. *(Imieniny Ojca św. Relikwie św. Klary).* W d. 19. b. m. jako w dniu swoich imienin odprawił Ojciec św. o godzinie pół do 8-ej rano w swej prywatnej kaplicy mszę św. i udzielił komunii św. swym świeckim dworzanom. Około godziny 11-ej przyjmował przedstawicieli wielu katolickich stowarzyszeń w Rzymie, którzy mu składali życzenia i dary z kwiatów i owoców. W południe odbyło się uroczyste przyjęcie kardynałów, arcybiskupów, biskupów i prałatów, reprezentantów Zakonu maltańskiego i dostojników dworskich. Kardynał-dziekan złożył Ojcu św. życzenia w imieniu zgromadzonych, na co Leon XIII. łaskawie odpowiedział. Następnie zaprosił Ojciec św. zebranych do biblioteki, gdzie rozmowa trwała do godziny 2-ej. Ojciec św. mówił między innemi z zadowoleniem o przyjęciu, którego ostatnia encyklika doznała na wschodzie, o czynnościach propagandy, o reformie śpiewu liturgicznego i kaznodziejstwa, przypominając prostotę kazań apostolskich. Wszyscy byli zachwyceni znakomitym wyglądem, ożywieniem i humorem Jego Świętobliwości.

— W tym samym dniu obchodził świat katolicki pamięć św. Klary. Nie wszyscy może wiedzą, że ciało tej świętej, spoczywające w Assyżu, odkrył Leon XIII., będąc jeszcze biskupem Perugii. Nie wiedziano wówczas, gdzie właściwie święte szczątki są złożone. Biskup miejscowy ks. Landi zaprosił więc biskupów sąsiednich dla wspólnych poszukiwań. Kilka dni upłynęło bez skutku. Nareszcie znaleziono trumnę, okutą żelaznymi obręczami. Biskup Pecci pierwszy podniósł wieko i ujrzał świętą. Ciało, od sześciu wieków leżące w ziemi, było nietknięte. Wszyscy upadli na kolana we łzach i uroczystej modlitwie. Lat temu 45; Ojciec św. z lubością wspomina to zdarzenie.

Galicya. Dołha wojniłowska. Przed kilku laty powstała tu na gruntach dworskich osada mazurska z trzystu przeszło osób złożona. Urządzając swe zagrody, dzielni Mazurzy zbudowali równocześnie ładny kościółek i plebanią w nadziei, że otrzymają kapłana w miejscu, bo od kościoła parafialnego w Wojniłowie dzieli ich 14 kilometrów drogi. Jakoż nie zawiedli się w oczekiwaniach. Najprzew. ks. biskup Puzyna, wizytując Wojniłów, odwiedził też osadę mazurską. Łzami radości napływało oko patrząc na rozradowane oblicza Mazurów, witających księcia Kościoła, z którego ust dowiedzieli się, iż Jego Ekscellencya ks. Arcybiskup przyszle im pasterza do Dołhej. Nie pierwsza to osada mazurska w tej części kraju. Od wieku XIV. począwszy, po wyludnieniu dzielnic ruskich przez Turków i Tatarów, nie mało osiedlało się tu Mazurów, z których jednak wielu z biegiem czasu zmieniło obrządek i narodowość, właśnie dla zbytniego oddalenia ich zagród od parafialnego kościeła. Dziś wiele obszarów ziemi przechodzi w ręce obce i wrogie. Wielką przysługę oddadzą bałamuconemu ludowi i Ojczyźnie ci, którzy przyczynią się do powstrzymania prądu emigracyjnego do Ameryki a skierują go na wschód. Dla ocalenia w osadnikach przywiązania do obrządku i narodowości, spodziewać się należy, że duchowieństwo parafialne pójdzie w ślady Przew. ks. Korczyńskiego kanonika i proboszcza w Wojniłowie i jego współpracownika ks. Leona Ziemiańskiego, którzy radą i pomocą ułatwili Mazurom Dołżańskim zbudowanie warowni przeciw zmianie obrządku i wynarodowieniu.

— Milatyn. Rozszerzona przez niektóre dzienniki pogłoska o uszkodzeniu kościoła przez piorun tak, że go musiano zamknąć dla pątników, jest nieprawdziwą.

— Borek stary pod Tyczynem. Misyą ludową, urządzoną w Borku ku uczczeniu trzechsetletniej rocznicy kanonizacyi św. Jacka, kierowaną przez OO. Reformatów: Henryka Lokajczyka i Stanisława Bineka, zakończył sumą sam Arcypasterz dyecezyi przemyskiej ks. dr. Łukasz Ostoja Solecki. Spowiadało się przeszło 5.000 a bierzmowało przeszło 800 osób.

Austrya wyższa. W Schwanenstadt odbyło się doroczne zgromadzenie katolickiego związku ludowego. Jest to stowarzyszenie polityczne, które liczy 35.000 członków, azatem więcej, niż którekolwiek inne stowarzyszenie w Austryi.

Niemcy. *(Związek ewangelicki. Urszulanki).* Związek ewangelicki odbył w Bochum generalne zebranie. Osią, około której kręciły się obrady, była „rzymska pożądliwość władzy". Narzekano na nią do syta i żalono się na obojętność protestantów dla związku. Profesor Scholz z Berlina żądał, aby wszystkie artykuły wiary zastąpić jednym tylko: „wierzę w Jezusa Chrystusa, jednorodzonego syna Bożego". Przewodniczący westfalskiej rady wyznaniowej witając zebranych, oświadczył że związek założono dla obrony przeciw zaczepkom Rzymu. Zgromadzenie uchwaliło protest przeciw przywróceniu Redemptorystów. Zaznaczyć należy, że znaczna część protestantów nie solidaryzuje się wcale ze związkiem, owszem potępia jego działalność.

— Pomimo poparcia ks. arcybiskupa Stablewskiego nie pozwolił rząd pruski na osiedlenie się Urszulanek w Poznaniu.

Dania liczy na dwa miliony protestantów zaledwie 3.700 katolików. Przyczynę tak szczupłej liczby katolików tłumaczą poniekąd surowe ustawy, wydane z końcem XVII. wieku, grożące wprost karą śmierci kapłanowi katolickiemu, któryby ośmielił się przybyć do Danii a innemi surowemi karami tym, którzyby mu w tem byli pomocni. W małżeństwach mięszanych musiała strona katolicka zaprzysięgać, że dzieci wychowa w religii protestanckiej. Dopiero po r. 1848 począł się zwrot ku lepszemu a liczba katolików z 800 wzrosła na 3.700. Pomimo tego konwertyci zawsze jeszcze narażeni są na rozliczne przykrości. Wikaryat apostolski dla Danii utworzył dopiero Leon XIII. w r. 1892, mianując ks. Jana Euch, proboszcza w Kopenhadze, biskupem anastazyopolitańskim i wikaryuszem apostolskim; w r. 1894 zaś po raz pierwszy od lat 362 wyświęcono w Danii kapłana. Obecnie jest w Danii 30 kapłanów, po połowie świeckich i zakonnych, 7 kościołów i 9 kaplic. W rękach katolickich jest jedna wyższa szkoła dla chłopców, kilka szkół dla dziewcząt. Dwa zakony żeńskie zajmują się pielęgnowaniem chorych i udzielaniem nauki.

Francya. *(Moralność francuskiego mera. Kongres eucharystyczny w Rheims. List kardynała Rampolli do arcybiskupa Ricarda).*

Do czego doszedł bezwstyd ateistów francuskich, dowodzi wypadek, który niedawno wydarzył się w Awinionie. Oto mer

Awinionu kazał tuż obok kościoła św. Piotra na miejscu publicznem postawić obrzydliwie bezwstydną statuę kobiety. Ustawienia dokonano wśród nocy a więc ukradkiem, z soboty na niedzielę. W kazaniu niedzielnem proboszcz miejscowy ks. Dumas energicznie zaprotestował przeciw obeldze, którą publicznej moralności wyrządził człowiek, obowiązany w pierwszym rzędzie do jej strzeżenia. Większość mieszkańców Awinionu jest oburzoną.

— W czasie od 25. do 29. lipca odbył się kongres eucharystyczny w Rheims. Przybyło nań 3 kardynałów, 18 biskupów i 1.500 uczestników. Robotnicy z Rheims i okolicy brali żywy udział w kongresie. Głównym przedmiotem obrad była kwestya wschodniego kościoła.

— Jak wiadomo ks. arcybiskup Ricard z Aix wystosował do osławionego Zoli z powodu jego najnowszego dzieła *Lourdes* list, zawierający ostrą a dowodami popartą remonstracyą przeciw wywodom tego autora, opartym na wykrętnem przedstawieniu faktów. Kardynał Rampolla przesłał z tego powodu ks. Ricardowi następujące pismo: „Monsigniorze! Romans Zoli o *Lourdes* każdemu sercu katolickiemu wielką przynosi boleść. Było więc bardzo pożądane, aby z obozu katolickiego w obronie podeptanej prawdy odezwał się głos odprawy silniejszy, niż w dziennikach. Tego pożytecznego dzieła dokonałeś monsigniorze. Dla tego wiszuje ci Ojciec św., który dedykacyą Twej książki: *La vraie Bernadette de Lourdes* przyjął z wdzięcznością i spodziewa się, że dzieło Twoje cieszyć się będzie życzliwem przyjęciem u publiczności. Przesyłając ci błogosławieństwo apostolskie, którego ci ojciec św. udzielił z całego serca, proszę cię etc."

Rozmowa z biskupem brazylijskim.

Reporter gazety *Le monde* odwiedził Msgr. Duarte Silva, biskupa z Goyaz w Brazylii i ogłosił rozmowę z nim, która jest tak interesującą, że pozwalamy sobie przytoczyć z niej kilka ustępów.

Ks. Duarte Silva, rodem z Santa-Catarina, jest to prałat młody jeszcze, niskiego wzrostu, śniady, z kruczymi włosami, o wyrazie twarzy pełnym słodyczy a zarazem energii. Uprzejmy a nawet uprzedzający, z patryarchalną poufałością łączy powagę.

Reporter tak zagaił:

— Przybyłeś więc do nas, ks. biskupie?

— Tak, przyjeżdżam z Rzymu. Ojciec św. był dla mnie nader łaskaw. Nie przyniosłem mu jałmużny. Owszem, choć przychodzę z kraju złota, przybyłem jej szukać. Ofiarowałem Ojcu św. osobliwości naszej krainy: skóry wężów, pióra ptasie, stroje dzikich a papież w swej dobroci ujęty był mymi skromnymi darami.

— Czy ks. biskup długo zabawi we Francyi?

— Kilka tygodni w Paryżu a następnie udam się do Lyonu, aby leczyć moją rękę.

— Cóżto jej dolega?

— Złamałem ją przed rokiem, spadłszy z konia. Lekarze krajowi zrobili, co mogli: złożyli mi rękę, niestety fałszywie. Wskutek tego z trudnością tylko mogę odprawiać mszę św. Trzeba więc przedsięwziąć powtórną operacyą.

— Czy ks. biskup jeździ konno?

— Jest miesiąc drogi wierzchem z Rio do Goyaz. Kolei naturalnie nie ma, za to często spotyka się strumienie, na których nie ma mostów. Listy idą do nas nieskończenie długo, jeżeli w ogóle dochodzą.

— Czy ks. biskup zadowolniony ze swej dyecezyi?

— Niestety, staram się z całej duszy być zadowolnionym, stosunki są jednak bardzo niekorzystne. Goyaz, założone przez Portugalczyków dla eksploatacyi min złota, jest dziś ubogą mieściną. Dyecezya moja, w samym prawie środku Brazylii, jest krajem na pół dzikim. Stolica jest miastem wojskowem. Batalion stoi tam załogą a oficerowie tworzą arystokracyą miejscową. Prawie wszyscy ci oficerowie, wychowani w Rio, są pozytywistami. Pozytywizm jest teraz w Brazylii bardzo w modzie. Reszta ludności pozostawia bardzo wiele do życzenia pod względem inteligencyi i religii. Ma wprawdzie dobre skłonności, ale ileż to oświaty potrzeba dla tego morza ignorancyi.

— Czy są tam Indyanie?

— Bardzo wielu: Kajapory, Naraguaje, Akroasy i inni. Dobrzy to ludzie, poganie po większej części, lecz więcej warci od chrześcian. Obserwując dość wiernie prawa naturalne, chętnie przyjęliby chrzest, gdyby ich można ewangelizować.

— Jestże wielu księży?

— To najsmutniejsza strona. Wyobraź pan sobie obszerną dyecezyą o 800.000 rozrzuconych dusz, mającą pięćset mil długości i szerokości, przerzniętą górami i strumieniami a podzieloną na 94 parafii, bardzo od siebie oddalonych. Jedna z tych parafii jest większą, niż cała Portugalia. Pomyśl Pan, że na to jest trzydziestu księży.

— Trzydziestu księży!

— Tak! a połowa z nich przekroczyła sześćdziesiąty rok życia; są pomiędzy nimi starcy ośmdziesięcioletni i chorzy.

— Jakiż niedostatek, ks. biskupie!

— A cóżbyś Pan powiedział, gdybyś ujrzał był moje seminaryum w chwili, gdym przybył do dyecezyi! „Seminaryum" mówię żartem. Budynek był właściwie składem węgla i to źle zbudowanym. Mur tak się skrzywił (tu dopomógł sobie ks. Duarte Silva gestem humorystycznym). Co do seminarzystów to pięciu małych, bosych chłopców stanowiło całą nadzieję mego przyszłego kleru.

— A teraz?

— Teraz jest lepiej. Liczba seminarzystów wzrosła; jest ich obecnie pięćdziesięciu a wszyscy mają trzewiki i sutanny. Nie potrzebuję dodawać, że najczęściej sam jeden jestem nauczycielem. Przybyłem do Europy, aby szukać księży, którzyby mi dopomogli w pracy misyjnej, bo to doprawdy misya. Otwarte tam pole dla wszystkich, którzyby chcieli poprzeć moje usiłowania; przyjmę ich z serdeczną wdzięcznością.

III. **Spis osób, które w dalszym ciągu złożyły zebrane przez siebie ofiary na obraz Najsłodszego Serca Pana Jezusa, mający się umieścić nad grobem Wielkiego Papieża Piusa IX.**

N. N. z Królestwa Kongres. 5 zł. 50 ct.; N. N. z Krakowa 10 ct.; p. Skopowski z Żółkwi 2 zł. 50 ct.; ks. Krupiński z Jazowska 5 zł.; p. Tarkowska z Krakowa 5 zł.; N. N. ze Żmudzi, Litwy i Kurlandyi 83 i 98 zł.; p. Fr. Kowaisz ze Szląska 66 i 53 zł.: ks. Trzopiński z Kochawiny 3 zł.; ks. Kowalczyk z Lubni 2 zł.; ks. Basarabowicz z Sidorowa 2 zł.; Siostra M. Kołdrasińska ze Lwowa 10 zł.; ks. Harmata z Bielin 8 i 20 zł.; ks. Paleczek z Wadowic 5 zł.; p. B. Łysakowska z Krakowa 15 zł.; ks. W. Osiński z Mikołajowa 6 i 40 zł.; p. Malczewska z Krakowe 15 zł.; p. N. N. z Warszawy 5 zł.; p. A. Klich z Paczółtowic ofiary ze Szląska 38 i 94 zł.; p. Lebenstein z Krakowa 90 ct.; ks. Jarynkiewicz z Krakowa 5 zł.; p. K. Molęcki z Krakowa 30 zł.; p. hr. Ressegnier-Kinsky z Niska 1 zł. 40 ct.; p. N. N. z Warszawy 65 zł.; p. M. Głowacka z Krakowa 5 zł.: p. Fuk z Krakowa 5 zł.; ks. A. Borowiecki z Bobrku 73 zł.: Dziewczęta z Tenczynka 1 zł. 50 ct.; p. A. Zaprutkiewicz ze Lwowa 5 zł. 90 ct.; p. W. Szczepańska z Ks. Poznańskiego 57 i 57 zł.; p. M. Kobylińska z Poznania 31 i 66 zł.; p. Siekierska z Krakowa 5 zł.: N. N. 18 ct.; hr. J. Acquaderni 50 zł. Razem 616 zł. 44 ct., co z poprzedniemi ofiarami, wyniesie 1293 zł.

Wydatki: Do Komitetu głównego do Bolonii odesłałem 1210 zł., jakto poświadczają kwity pocztowe i komitetowe, a koszta druku i poczty wyniosły 83 zł., co razem wynosi 1293 zł., wyraźnie tysiąc dwieście dziewięćdziesiąt trzy a. w.

Tenczynek, d. 23. sierpnia 1894 r.

Ks. dr. Winc. Smoczyński.

Pensyą deficyenta otrzymał ks. Aleksander Kieroński, 21-letni kapelan szpitala w Nowosiółkach ad Gołogóry. Obecnie zamieszkał w zakładzie dla nieuleczalnych fundacyi Bielińskich na Gródeckim we Lwowie i gotów jest służyć bliższemi objaśnieniami zgłaszającym się na kapelanię w Nowosiółkach.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.
WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: ks. St. Korzeniowski. Z Drukarni W. Łozińskiego.